

Ewa Nowak

Wierzymy w miłość

(fragment powieści *Zerwij z nią*)

Alarm w ogrodzie był wyłączony, więc obszedł dom i wszedł na taras na tyłach posesji. Zobaczył otwarte okno na strychu. Wystarczyło stanąć na balustradzie i podciągnąć się. Kilka lat temu zatrzasnęli klucze w środku i ojciec Emilki wszedł do domu właśnie przez ten strych, a skoro on wszedł, to dlaczego Jackowi miałoby się nie udać?

Od dnia wysłania róż rodzice Emilki zaostrzyli kontrolę. W środy o świcie Jacek jechał do Choszczówki, wsiadał jeden przystanek za pętlą i odwoził Emilkę do szkoły. Emilka zawsze kończyła później niż on, więc Jacek starał się czekać na nią po lekcjach zawsze wtedy, kiedy ani ojciec, ani mama po nią nie przyjeżdżali.

Tego dnia jej rodzice wyjechali na weekend i Emilka miała cały dom dla siebie. Był tylko jeden problem: kamera przed drzwiami wejściowymi, do której ojciec miał stały dostęp. Dlatego drzwi wejściowe nie wchodziły w grę.

Jacek zatarł ręce. Chwycił rękami parapet i... nic. Nie dał rady zahaczyć nogą o parapet.

Odkąd nie było śniegu, zdecydowanie za dużo siedział w domu. Kiedyś taka wysokość to byłaby dla niego pestka, a teraz kompletnie sflaczał.

Zrobił jeszcze raz zamach, podciągnął się i pomyślał, że za chwilę zjawi się Emilka i zobaczy go zwisającego z okna.

Strach przed narobieniem sobie wstydu dodał mu sił. Podciągnął się i po chwili stanął obiema nogami na marmurowym parapecie. Zeskoczył na podłogę i zamknął za sobą okno. Udało się.

Znał ten dom z opowiadań. Emilka dużo mu opowiadała, bo zbudowali go jej dziadkowie lub pradiadkowie, trudno mu było się w tych koligacjach połapać. W każdym razie Emilka zapewniła go, że mają alarm strefowy i że ona wyłączy na strychu, ale i tak ten nafaszerowany elektroniką dom przerażał go. Ostatnia rzecz, na którą Jacek miał ochotę, to przypadkowe uruchomienie alarmu, więc stał jak słup i czekał, aż Emilka wybiega Mele, wróci i wszystkim zarządzi.

Rozejrzał się wokół siebie.

Buty Emilki. Lewy trochę przekrzywiony, jak wszystkie jej buty. Powinna nosić wkładki ortopedyczne, ale nie nosi. Dalej futerał na gitarę, jakieś pudła, gazety, skrzynki, koń na biegunach, różowy rowerek, bujany wiklinowy fotel, wielka szafa z drzewa czeczotowego, trzy wiszące łąbkami do dołu róże... jego róże! A więc Emilce udało się je zachować. A może to nie od niego? Były już zupełnie suche, więc nie miał pewności.

Popatrzył na gazety, wieszak na ubrania i buty jej ojca. Wielkie, wyglansowane, groźne buty, identyczne jak jej ojciec.

*

Siedzieli w kuchni.

– Czy ja ci się w ogóle podobam?

– Słucham? – Jacek oniemiał. – Też pytanie! Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

– To dlaczego nigdy mi tego nie mówisz?

– Po co? To przecież oczywiste.

– Może dla ciebie. Powiedz, jaka jestem.

– Jesteś niesamowita – powiedział bez zastanowienia.

– Słabe – skrzywiła się Emilka. – Powiedz mi tak konkretnie, jaka ja jestem.

Jacek chciał powiedzieć coś o jej oczach, o włosach, że zawsze wyglądają na potargane, bo kręcą się tylko przy głowie, a potem są proste jak rzęsy konia, że kocha nawet jej krzywo obgryzione paznokcie. To była święta prawda, jednak nie to było najważniejsze.

– Wiesz, jaka jesteś?

– No, jaka? – kokieteryjnie zapytała Emilka.

– Moja.

*

Stali naprzeciwko siebie na schodach. Emilka oparta o ścianę, Jacek oparty o poręcz. Wyciągnęli przed siebie ręce i muskali opuszki swoich palców.

– Właściwie dlaczego ty chodzisz do kościoła?

– A dlaczego ty nie chodzisz?

– Tak mnie wychowano. Gdybym się urodził w innej rodzinie, tobym chodził. A gdybym urodził się w Indiach, tobym był pewnie buddystą.

– A mnie tak wychowano. To jest jakiś problem dla ciebie?

– Żaden.

Jacek miał na końcu języka pytanie, czy jej ojciec wie, że Jacek jest ateistą, ale na razie nie chciał o tym myśleć. Skoro Emilka tym się nie martwiła, nie było tematu.

*

Siedzieli w dużym pokoju na sofie i trzymali nogi na ławie. Ojciec Emilki nienawidził trzymania nóg na stole, fotelu czy ławie, dlatego gdy rodziców nie było w domu, siadały tu z Wiktoria i kładły nogi na ławie. Emilka przejęła od niej ten zwyczaj.

- Okłamałem cię co do Wandy. Nie dałem jej wtedy tych kwiatów. Wyrzuciłem je.
- A dlaczego właściwie jej o mnie nie powiedziałaś?
- Pokazałem jej twoje zdjęcie, a ona... wtedy...
- Nie spodobałam się jej?
- No, nie.
- I co, obraziłeś się na nią? Przez takie głupstwo straciłeś wspianego przyjaciela.
- Głupi jestem jak but.
- Nie za mądry w każdym razie.

*

Byli w pokoju Wiktorii. Usiedli na łóżku przykrytym patchworkową narzutą.

- Kiedy miałam dwanaście lat, bardzo chciałam mieć psa. Marudziłam o tego psa okropnie, ale oczywiście mowy o tym nie było, bo pies brudzi, śmierdzi, kosztuje, gryzie meble i jest nikomu do niczego niepotrzebny. Wiktoria wtedy oszalała na punkcie samochodu. Strasznie chciała zrobić prawo jazdy. Ojciec się nie zgadzał, bo kurs trzeba robić, jazdy brać, bo zawali naukę, bo egzaminy na medycynę. Kłócili się o to strasznie. W końcu ja poszłam do taty. Zrobiłam mu laurkę i poprosiłam, żeby się zgodził na to prawo jazdy. Tata zapytał, czy mi zależy. Powiedziałam, że bardzo. Tata zapytał, czy jestem gotowa coś dla Wiktorii zrobić? Potwierdziłam. Tata powiedział, że w takim razie zaraz powie Wiktorii, że się zgadza, ale robi to pod warunkiem, że ja przestanę marudzić o psa.

- I co?
- I już nigdy ani słowem nie wspomniałam o psie. Zaprzyjaźniłam się z sąsiadką i Mela jest tak jakby trochę moja.
- Wiktoria ma prawo jazdy?
- Tak. Zrobiła je w pierwszym możliwym terminie.
- Opowiadałaś mi tyle o niej, a tego nie powiedziałaś.
- Bo to nie jest historia o Wiktorii, tylko o moim ojcu.

*

Byli w łazience. Emilka siedziała po turecku na podłodze, a Jacek na brzegu wanny.

*Tak wierzymy w miłość, kiedy się pojawi,
Życie snem nasyci i przed jawą zbawi,
A trwaniu ruch nada wzniosłym niepokojem.
Jednak kochać – znaczy połączyć się z lustrem,
Które przecież zniknie i zostawi pustkę,
Jakiej nie wypełni żadna noc we dwoje.*

*Choć – jeśli miłości już wierzyć nie umiem –
Cóż ja rozumiem?*

Jacek przez chwilę milczał, trawiając tekst piosenki. Szukając ratunku, błędził wzrokiem po szamponach, myjkach do pleców, ręcznikach, flakonach z kolorowymi kulkami i elektrycznym irygatorze, ale żaden ze sprzętów nie chciał mu pomóc w zrozumieniu, co poeta miał na myśli.

– I to dla ciebie ma być definicja miłości? – powiedział wreszcie przerażony, że Emilka zapyta, co o tym sądzi.

– Tak. To najbardziej precyzyjna definicja miłości, z jaką się spotkałam. A ty, Króliku Przemądrzały, jaką byś dał definicję miłości?

– Ja... no, ja... Wiem! Pewnego razu dwaj młodzieńcy zakochali się w tej samej pannie. Pech chciał, że pannie obaj podobali się tak samo i nie wiedziała, którego wybrać. Poszła więc po radę do Szeptuchy. „Przyjdź jutro z nimi oboma, a ja ci od razu powiem, którego powinnaś wziąć sobie za męża”. Panna trochę się zdziwiła, bo знаła tych młodzieńców długo, a co Szeptucha mogła o nich powiedzieć, widząc ich pierwszy raz. Następnego dnia panna zjawiała się jednak z kawalerami. Szeptucha poprosiła, żeby powiedzieli, jak kochają tę pannę. „Ja ją kocham jak ryba wodę, jak słońce południe, jak wiatr kwitnący wiosną wiśniowy sad – powiedział pierwszy. – Życie bym za nią oddał, będzie miała przy mnie, o czym tylko zamarzy”. „A ja ją kocham jak ptak wolność, jak wilk las i jak jastrząb przestworza. Nigdy jej nie opuszczę i będę zawsze jej dobro przedkładał nad swoje” – oświadczył drugi. „Cóż, widzę, że obaj bardzo pięknie mówicie o miłości. Obaj jesteście piękni, młodzi i zapatrzeni w pannę. Obaj zasługujecie na nią tak samo. Podzielimy więc pannę na dwie części...”. Szeptucha weszła do domu i ku przerażeniu młodzieńców wyszła z olbrzymim toporem. Pierwszy młodzieniec z triumfem popatrzył na swojego rywala. „Niech on ją weźmie, ja jej już nie kocham!” – krzyknął drugi i wyrwał Szeptusze topór z rąk. „Weź tego” – powiedziała Szeptucha, wskazując na drugiego młodzieńca. Wzięła topór i weszła do swojego szafasu. Pierwszy młodzieniec stał skonsternowany, myśląc, o co Szeptusze mogło chodzić.

Emilka milczała dłuższą chwilę. Siedziała zasłuchana w swoje myśli.

- Może moja definicja jest ciut długa, ale...
- Czy ja dobrze zrozumiałam, co ty mi przed chwilą powiedziałeś?
- A co ja ci przed chwilą powiedziałem?
- Że oddałbyś za mnie życie.
- Bez wahania. Ale nie tak głupio ja Romeo i Julia. Ja bym oddał tobie całe swoje życie,

to wielka różnica.

- Ale wiesz, że miłość to nie słowa, tylko zachowanie? Roger na okrągło powtarza, że kocha Wiktorię.

- To było słabe, że mnie z nim porównałaś.

- Racja. Przepraszam. Ale wiesz, że wtedy, gdy Mela odkopała jeża, widziałam, że ciastka z ogonami zostawiasz dla mnie? To też jest definicja.

*

Siedzieli w kucki w przedpokoju, oparci plecami o szafkę z butami.

- Pamiętam kilka dobrych chwil z tatą. Pamiętam, jak grał ze mną w piłkę. Graliśmy w mieszkaniu. Bramka była między krzesłami. Pamiętam, jak kupił mi bochenek razowego chleba i gryźliśmy go razem. Ale głównie był pijany i krzyczał na mamę. Dobrze, że się rozwiedli, mam to gdzieś.

- Nikt nie ma gdzieś własnego ojca.

- Nie wiem, czy masz rację. Może tak. W każdym razie teraz, gdy ojciec mieszka z babcią, jest jako tako, bo ona go cały czas pilnuje. Inaczej szwenda by go dopadła.

- Szwenda? Ciekawie nazywacie alkoholizm. A tata twojego taty, ten Marek... Pamiętasz go?

- Oczywiście. Pamiętam nawet pradziadka. Bałem się go. Mówił takim grubym głosem.

- A co jeszcze pamiętasz z historii swojej rodziny?

- Pamiętam, jak w Choszczówce po raz pierwszy cię zobaczyłem. Byłaś w czerwonej czapce.

- Nie zmieniaj tematu.

- Wcale nie zmieniam.

*

Byli w kuchni. Skończyli jeść krupnik, który dla Emilki zostawiała mama, ale nie skończyli tematu, który zaczęli godzinę temu i nie mogli wciąż skończyć. To znaczy Jacek nie mógł.

- Nie wolno im tak cię traktować. Nie zgadzaj się na to – powiedział już po raz któryś.

Za żadne skarby by się do tego nie przyznał, ale nie było dnia, żeby nie żałował, że tak go wtedy przed szkołą zatkało. Lubił o sobie myśleć, że jest silny i może skonfrontować się z każdym, więc uwierало go jak diabli, że ojca Emilki aż tak się wystraszył. Teraz to odreagowywał.

Emilka słuchała go spokojnie.

– Ja wiem. Jak tylko skończę liceum i wyjadę na studia, to się skończy. Potem rzucę w diabły medycynę i zacznę sobie studiować coś normalnego.

Jacek złościł się, że to przecież jeszcze tyle czasu, Emilka powiedziała, że szybko minie i prawie się o to pokłócili.

– Wiesz – powiedziała ugodowo – tata kiedyś aż taki nie był. Dopiero po wyjeździe Wiktorii dostał jakiejś obsesji na moim punkcie. Ale nie denerwuj się tym, to nic takiego. Przyzwyczyłam się.

– Do czego się przyzwyczyłaś? Nie jesteś świstkiem, żeby cię trzymać w rezerwacie.

Emilka parsknęła śmiechem.

– Chyba świstakiem.

– A co powiedziałem?

– Świstkiem.

– Świstkiem też nie jesteś. Ani świstakiem, ani jeżem, żubrem czy co tam jeszcze jest pod ochroną.

– Jestem żmiją... s.... Nie złość się.

Kiedy ostatnio mogli spędzić razem prawie dwa dni? Kiedy mogli przegadać całą noc? Kiedy mogli całować się i przytulać, ile tylko chcieli? Nigdy, bo nigdy jeszcze nie spędzili razem więcej niż kilka godzin, a i to co najwyżej na klatce schodowej, pod okiem Wiktorii albo w jeżdżącym od pętli do pętli autobusie. Kłócenie się akurat teraz było więc czystym marnotrawstwem czasu.

– Przepraszam – powiedział Jacek. – Ile czasu na to zmarnowaliśmy?

*

Poszli do pokoju Emilki. Nie włączali światła, nie było im potrzebne. Zza okna sączyła się nocna poświata latarni. To wystarczało, żeby siebie widzieli.

Siedzieli na dywanie oparci plecami o łóżko. Niczego nie słuchali, niczego nie oglądali.

– Kiedyś będziemy mieli własny dom, mały, bez kamer i alarmów, gdzieś daleko stąd, z miedzianymi rynnami...

– Wiesz, jak rynny się zapychają? Trzeba wygrzebywać szlam i...

– Dobrze, to bez rynien.

Emilka już otwierała usta, żeby powiedzieć, że dom bez rynien nie jest najlepszym pomysłem, ale Jacek patrzył gdzieś przed siebie, więc nie chciała wyrywać go z marzeń.

– I będziemy piekli sobie ciasto...

– A jakie umiesz upiec?

– Na razie żadnego, ale się nauczę. Będziemy myć okna i odkurzać...

– Umiesz wymieniać worki w odkurzaczu?

Jacek pokręcił głową. Rzeczywiście mama albo Marcin robili czasem coś takiego, ale on nigdy się tym nie interesował.

– Ja też nie. I w ogóle nic nie umiem. Nawet chleba nie umiem ukroić, bo szkoda mojego czasu na takie rzeczy. Mam się tylko uczyć. Umiesz wstawić pranie? A przyszyć guzik? Nie damy sobie rady, bo nic nie umiemy. Lepiej się rozsta... – zaczęła po swojemu Emilka, ale nie zdążyła dokończyć, bo zadzwoniła jej mama.

Emilka, głaszcząc Jacka po twarzy i patrząc mu z bliska w oczy, powiedziała, że się uczy. Zrobiła już biologię, a teraz zabiera się za chemię. Talerz po krupniku zalała wodą.

– A co u was? Jak droga? – zapytała swoim zwykłym Emilkowym głosem.

Jacek popatrzył lekko zdezorientowany. Nie znał jej takiej. Kłamała, nawet nie mrugnawszy powieką. A jeśli jego też tak kiedyś okłamię?

*

– Chcesz dres?

Jacek nie chciał. Mimo to Emilka wyciągnęła z szafy swój rozciągnięty, najwygodniejszy dres.

Jacek rzucił spodnie na dywan. Było coś niesamowitego w tym, że stoi przed nią bez spodni.

Emilka spojrzała na niego i powiedziała, że ma bardzo zgrabne nogi, dużo lepsze niż ona.

Rozśmieszyło go to. W całym swoim życiu ani razu nie zastanowił się, jakie ma nogi. Jakieś tam miał, co to miało za znaczenie?

Jacek z całej siły objął Emilkę. Z trudem łapała oddech, więc go połaskotała. Zaczęli się siłować, chichotać, całować, znowu łaskotać. W końcu w jednej chwili obojgu zmienił się nastrój. Przysunęli twarze blisko i bez słowa wpatrywali się w siebie, jakby na całym świecie nie było niczego interesującego poza ich oczami.

– O czym tak myślisz, Irbisku?

– O tym, że mówi się „kocham cię całym sercem”. A to jakaś bzdura. Dlaczego nie całym mózgiem albo całą wątrobą? Przecież kocha się wszystkim.

- Kocham cię całą brwią – powiedziała z egzaltacją Emilka.
 - Nie kłamiesz?
 - Nie.
 - A może wkręcasz mnie jak zwykle, co? Przyznaj się. Mów prawdę.
 - Kocham cię obiema brwiami, rzęsami i dziurami w nosie.
- Dotknęli się czołami.
- Jestem tobą.
 - A ja jestem tobą.

*

- Tak myślałem. Tyle właśnie jesteś warta.

Ojciec Emilki był w jasnobezowym płaszczu i miał kamienną, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz.

Emilka zerwała się jak oparzona, ale ojciec jakby jej nie widział.

- To ten sam czy inny pan prosi się o problemy? Zachciało się macanek? Kogo ja wychowałem!

- Ale tato, to nie tak...
- Z tobą porozmawiam później.
- Ale tato, my nic złego nie robiliśmy!
- Jestem o tym absolutnie przekonany. Wszystko o tym świadczy.

Ojciec Emilki czubkiem buta kopnął spodnie Jacka i wyjął z kieszeni telefon.

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z panią Mostowicz? Tu January Wodziński. Jest u nas państwa syn... Cóż... niestety, nie jest u ojca. Zastałem go z moją córką. Jest bez spodni... A jednak możliwe. Zachodzi podejrzenie gwałtu, a już na pewno kradzieży z włamaniem. Tak, sprawdzę... Czy ty jesteś Jacek Burta? – zapytał.

Jacek odruchowo kiwnął głową.

- Tak, potwierdza swoją tożsamość. Chciałem, żeby pani wiedziała, zanim wezwę policję... Jak najbardziej. Oczywiście, proszę przyjechać. Na pewno będzie pani potrzebna. Choszczówka, ulica Brzezińska... Czekam.

Jacek poczuł się, jakby był uczestnikiem programu „Meandry życia”, „Dlaczego tak?” albo jakimś innym niskobudżetowym gnocie, w którym wszyscy źle grają swoje role. Tylko że to działo się naprawdę.

Ojciec wziął pod rękę zapłakaną Emilkę i wyprowadził ją z pokoju. Był już w progu, gdy wrócił, schylił się i sięgnął po spodnie Jacka.